Lwów, 14. Stycznia. №6. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. półrocznie 4 Złr.— kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stęplowego. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha* przy placu dykasterylnym pod l. 41.

DWAJ BLIŹNIĘTA.

II.

Dwadzieścia lat później.

(Ciąg dalszy.)

Tego rodzaju była miłość Mykity do Małanki, którą go znała z tej strony; jakoż od blisko roku jak trwał ten ich romans, najmniejszego nie dała mu powodu do zazdrości. Sama jedna w chacie, nie wychodziła tylko z nim do karczmy albo do kumów i sąsiadek, i czekała cierpliwie, kiedy wedle przyrzeczenia będzie się mógł z nią ożenić; a nawet skłonna z natury do zalotności, i lubiąca dawniej nadewszystko stroić się, zaniechała i jednego i drugiego. I musiała go zapewne kochać mocno, bo po śmierci starego męża, przez długi czas niezamykały się drzwi bogatej wdowy przed swatami, którzy zewsząd ciągnęli. Lecz ona powtarzała Mykicie.

— Że albo umrzeć, albo z nim jedynym żyć!.,

Była to zresztą kobieta w sile wieku, i jak zwykle góralki zmysłową więcej; musiał jej zatem przypaść czy do smaku, czy do serca przystojny Mykita, za którym wszystkie w okolicy mołodyce i dziewczęta pociągały słodkiem okiem. Dodam jeszcze do skończenia obrazu, że Małanka co do wdzięków tak chwalonych powszechnie, była typem przystojnej, hożej i zdrowej góralki. Kto zaś zna góry, mianowicie tę część o której piszę, wie, że to nie wiele znaczy, bo w tej właśnie części gór kobiety nie celują pięknością i są zwykle brzydsze od mężczyzn.

Nie będę opisywał szczegółowo rozmowy Mykity i Małanki. Rozmowa ta mogła być i szczera i naiwna i dla nich wielce zabawna, ale dla nas musiała by się wydać niezajmującą.

Były to z jej strony powtarzane przysięgi miłości, zaklęcia się najsroższe, co się tycze wierności, przeplatane plotkami wiejskiemi, których lubownicami są równie wieśniaczki proste jak i najznakomitsze mieszczanki.

Albo znowu, co ją jeszcze więcej obchodziło, wypytywała go co dzień, co tam robią, co tam jedzą, co mówią. Naturalnie bowiem nie potrzebuję domyślnemu czytelnikowi tłumaczyć, że w wielkim Mykicie widzimy tego samego Mykitkę, który boso przyszedł do dworu w końcu pierwszej części powieści.

A nawet posunęła ciekawość swoją do tego stopnia, iż spytała go, jak rzeczy stoją między młodym paniczem a siostrą Mykity, Olanką. Ale nie tego na tym wyszła.

Bo Mykita nie tylko że jej pogroził i naklął za to, ale tak się rozgniewał że aż silnej góralce z trwogi zaćmiło się w oczach.

— Ty głupia! i te twoje baby od których zbierasz baje, głupie! wrzasnął w dalsze nie wdając się tłumaczenia.

Małankę jeszcze język świerzbiał, bo we wsi utrzymywano, że Mykita sam paniczowi dopomaga do miłostek z siostrą, i po prawdzie więcej to gębą wytykano, niżeli w duszy miano za złe — ale już się bała wdawać w dalsze pytania.

Mykita z swej strony rozpowiadał i odpowiadał, a jednakże rozmaitemi bocznemi pytaniami starał się wyśledzić, czy to jego dzisiejsze widzenie było prawdziwem widzeniem, czy przywidzeniem.

Naturalnie, że się nic nie dowiedział, bo to było zupełne przywidzenie.

I tak im przeszło aż już się miało ku wieczorowi. Mykita zaczął się zbierać.

— Ty idziesz?... — spytała zdziwiona Malanka, przyzwyczajona zapewne że on właśnie o tej porze nigdy nie odchodził.

— We dworze goście, pan mi nakazał, żebym wcześnie wracał — odpowiedział nieco mrukliwie.

— Przeklęta służba!... — kiedy już będziesz wolny.

— Niezadługo!... — odpowiedział krótko. A nim wrócę do dworu muszę jeszcze wstąpić do starej Warwary i do siostry.

— A kiedyż przyjdziesz do mnie?.... Dziś choćby późno.

— Dziś nie mogę... jutro przyjdę wieczorem...

Tu się rozpoczęła walka między kochankami dosyć żwawa. Małanka upierała się koniecznie by przyszedł dziś, a Mykita składał się niemożnością. Małanka zaś znowu utrzymywała, że jutro musi odwiedzić kumę chorą na przysiołku, o kwandrans drogi odległym. Skończyło się bardzo czule na daniu innego terminu, z wielkim płaczem i narzekaniem zawodzącej Małanki. Mykita również czule ją pożegnał, chociaż w czasie tej małej sprzeczki kilka razy bystrym wzrokiem popatrzał na nią, jakby chciał odgadnąć jej myśli tajemne.

I my też za nim pójdziemy do znajomej już nam przed laty dwudziestą chaty, w której stara Warwara z Olanką mieszkają same. Powierzchowność chaty nie wiele zmieniła się. W tym względzie nasze wiejskie chaty mniej więcej

wszystkie, zdają się nigdy nie starzeć, może dla tego, że nigdy zdrowej i czerstwej nie mają młodości. Zawsze są chorowite, zawsze im czegoś nie dostaje, i ledwie postawione, ledwie je kilka razy dym okopci, aliści wyglądają jak stare, ale też za to, pochylone, pokrzywione, dziurawe, trzymają się jakby cudem jakim, i nieraz prosta chata wieśniacza przeżyje parę pokoleń dworskich zabudowań, które się zmieniają za podmuchem kaprysu i fortunnego lub niefortunnego powiewu losu. W chacie Warwary widziemy tylko świeże zupełnie usiłowania, by stare jakieś szwanki nowemi załatać poprawkami. We środku zastajemy też same sprzęty co przed laty dwudziestą, ten sam piec ogromny z ogromniejszym zapieckiem, i wszystko jak było dawniej. Dawny tapczan rodziców Olanki, córka śnieżną i czyściejszą pokryła weretą, a izbę z powodu zbliżających się świąt zielonych mnogiemi umaiła gałązkami i wonnem posypała zielem tatarskiem. I Warwarą nic się nie zmieniła; jednej zda się zmarszczki nie przybyło, pochyliła się jeno nieco, i stare nogi nie statkują odkąd zawitał do nich gościec, ten biednego ludu towarzysz starości. Co do wewnętrznego usposobienia możnaby powiedzieć odmłodniała; ten bowiem jej stan obłąkania chociaż trwa zawsze, ale z jednej strony pojawia się w pewnych tylko chwilach wzruszenia, z drugiej zaś strony przybrał w pojawach swoich więcej spokojnej powagi. To jej głównie zostało, że jej cała rozmowa choć najrozsądniejsza, bywa zawsze krótka, urywana, w postaci wyroczni wygłaszana. Ludzie we wsi mają ją zawsze za czarownicę, i nieraz przychodzą do niej po radę, i wierzą w jej powiedzenia, któremi wedle nich siła wieszczbiarska powoduje.

Po krótkiem i niemem prawie pozdrowieniu wnuczki i babki, posunął Mykita ławkę bliżej przypiecka i zasiadł sparłszy głowę o piec.

— Matko! — ozwał się po chwili, wy, co wszystko wiecie, powiedzcie mnie, czy mnie Małanka kocha szczerze.

— Głupi chłopcze! — mruczała stara jakby do siebie. Ona kocha wszystko w świecie.

— Ale czy mnie nie zdradza.

Stara podniosła się nieco, i w oczach zabłysło coś nakształt dawnego obłąkania.

— Tyś nie powinien bać się zdrady!... ty co zdradę lubisz... coś sam zdradził.

Aż ławka zatrzeszczała, tak się Mykita na niej rzucił.

— Ja zdradził!.. kogo... kiedy!...

— I wziąłeś jak pies obróżę na siebie... i liżesz łapę tych co ciebie biją.

— Mnie nikt nie bije... niechby spróbowali... Ja dwadzieścia lat jem ich chleb... i panicz mnie kocha... panicz ma dobre serce....

— Oni nie mają serca!.. doznasz i ty tego. I ja wierzyła, że stary ma dobre serce...

— Co tam stary!... jużeście dokazali matko coście chcieli... i on już dzisiaj taki...

— Jak ja!... — zaśmiała się stara. Sprawiedliwa kara boża za mnie... Ale za Eudochię... za córkę moją przeklęty niech będzie syn... i będzie przeklęty... i nie umrę póki tego własnemi nie zobaczę oczyma...

— Dajcie pokój, to dobry panicz!...

— Chłopcze! chłopcze!.... co się z ciebie zrobiło.... czy niepamiętasz przecie, co ci twój ojciec powiedział, gdy odchodził na zawsze z chaty swojej po śmierci Eudochii.

Mykita spuścił głowę z pewnem zakłopotaniem.

— Nie na to ciebie zostawił we wsi.

— Sam kazał mi iść do dworu.

— Nie na to byś został pokojowym kundysem... ale chowanym wilkiem....

— Dajcie pokój matko!... wy mnie nie rozumiecie, i ja nie chcę byście mnie rozumieli.

— Obudzisz się i ty głupi chłopcze, jak cię dobrze obiją batogami i nogą wytrącą, i psami wyszczują.

Co rzekłszy zasunęła się nazad w głąb przypiecka, co znaczyło u niej, że już nie chce w dalszą wdawać się rozmowę. I Mykita położywszy głowę na przypiecku zadumał się głęboko, tak że i nie widział nawet kiedy mu zgasła fajka.

Już się miało ku zmierzchowi, kiedy szczekanie psa i beczenie trzody zwiastowało przybycie Olenki. Jakoż po chwili wbiegła sama z pełnym pękiem kwiatów polnych, które sobie zebrała. Brat ledwie ją przywitał, gorzki tylko uśmiech wystąpił na jego twarz, i dumał dalej. Babka przeciwnie namiętnie do Olenki przywiązana, wysunęła się całkiem prawie by uściskać i ucałować swego gołąbeczka, jak ją nazywała, i zaraz z starannością pieszczotliwą zaczęła się wypytywać, czy się jej co nowego niewydarzyło.

Olenka zaczęła opisywać wszystkie drobne z owcami zdarzenia, jak je pies zganiał, jak jednej owcy długo szukała. O widzeniu się z lubym swym paniczem ani słówka nie wspomniała.

— I nic więcej!.. powtarzała stara ciągle.

— A gdzie tam!.. — odpowiedziała Olenka, i zaczęła rozpowiadać widzenie się swoje i rozmowę z owym góralem czarnym.

— Czarny góral!.. zawołali jednocześnie i stara i Mykita...

— Cały czarniutenki! ja z początku myślała, że to czart. Ale tak słodko mówił, i tak wyglądał, że mi się wydał znajomy...

— I wszystko czarne miał na sobie... — mruczał Mykita.

— Tylko coś mu przy kapeluszu świeciło, jakby gwiazda na niebie.

— Coś świeciło!... — mruczał dalej Mykita...

— Czy nie myślisz go przedać? groźniejszym głosem zawołała Warwara.

— Jego przedać?..

Ale stara już się zamyślała, mrucząc tylko sama do siebie krótkie i urwane słowa.

— To on!.. już zapewne czas!.. O! żebym ja tego dożyła!..

— Dla czego mam go przedać! — powtórzył Mykita pytanie swoje.

— Bo to był Iwan czarny!..

— Ja się tego domyśliłam! — zawołała Olenka klaszcząc w dłonie.

— Iwan czarny! — powtórzył Mykita. Więc to on szedł!.. ale gdzie! gdzie!

— I tyś go widział bracie!..

— Ja nic nie widział, tfu! czy to sen, czy mara jaka.

— Słuchaj go Olenko zawsze!.. Jeżeli dał ci jakie rady, to jakby ewangelią!..

— Rady opryszka! — mruknął Mykita pogardliwie.

— I ty byś poszedł do niego!.. możeby jego słowa lepiej skutkowały od moich.

— Mamże zostać opryszkiem?

— Wolałbyś być opryszkiem, niżeli służyć w domu, zkąd wszystkie przyszły na nas nieszczęścia.

— Gdzie on szedł?.. gdzie?.. Iwan czarny!.. czy to może być! — mówił Mykita sam do siebie.

— Słuchajcie moje dzieci! — ozwała się nagle stara, tonem pełnym niezwykłej uroczystości. Może ja niedługo pożyję... Pamiętajcie słuchać we wszystkiem Iwana czarnego...

Młodzi patrzyli na nią z wyrazem smutnego politowania.

— Iwan czarny to wasz brat!..

— Brat nasz!.. — zawołali oboje.

— Brat twój Mykito najbliższy, boście bliźnięta sobie, i razem o jednej godzinie na świat przyszliście.

— Ja pójdę... pójdę do niego... on mój brat, on mi powie prawdę.

— I powiedz mu bracie, że ja go poznała... Teraz rozumiem dla czego mi się zdawało, że ja go gdzieś widziała... bo on do ciebie podobny.

I przez chwilę zamilkli wszyscy. W czasie tego już się ciemno zrobiło, i nagle zaszeleściało coś koło drzwi, które z lekka zaskrzypiały jakby je wiatr poruszył. Olenka stanęła cała w płomieniach.

— Czemu nie zamykasz drzwi Olenko! — zawołała stara z przypiecka. Złe wchodzi, gdzie tylko znajdzie drzwi otwarte.

Westchnęła Olenka, a Mykita uśmiechnął się gorzko i szyderczo, a wkrótce pożegnawszy babkę rzekł do siostry:

— Muszę spieszyć, bo młody pan na mnie czeka... musi się biedak tam niecierpliwić...

Olenka była jak na szpilkach. Wyszedł wreszcie Mykita, przechodząc przez sień, spojrzał może przypadkiem ku komorze, i ten sam co pierwej wystąpił mu na twarz uśmiech gorżki i szyderczy; oczy jego przez chwilę zabłysły jak dwie pochodnie, ścisnął pięść i zadrzał i poleciał wichrem ku dworowi.

— Gdzie idziesz Olenko? — spytała stara, słysząc jak się drzwi otwierały.

— Idę po ogień do sąsiadki.

— Niech się dzieje wola boża!.. — mruczała stara po jej odejściu sama do siebie. Przyjdzie raz godzina bożej pomsty.

Długo, bardzo długo trwało zanim Olenka wróciła od sąsiadki. I długo, bardzo długo trwało, zanim się Mykita doczekał pana swego, którego nie zastał we dworze. A tem niecierpliwiej go czekał, że chciał się koniecznie wyprosić na noc dzisiejszą. Jakoż skoro nadszedł pan Piotr, wystąpił Mykita z prośbą swoją, na którą pan Piotr zezwolił oczywiście boć Mykitę samego szczerze lubił, i Mykita był bratem Olenki. Odebrawszy pozwolenie, porwał Mykita ciemniejszą na siebie burkę, ostrzejszy w rękę wziął toporek i pobiegł szybkim krokiem. Ale nie pobiegł on do chaty Małanki. On pominąwszy rodzicielską chatę poszedł ku cerkiewce, a przeżegnawszy się pobożnie przy cmentarzu, puścił się w środek czarnego boru.

Czarny bór, tak się bowiem nazywał bór świerkowy, zaczynał to olbrzymie stopniowanie wyżyn, urwisk, połonin, skalistych grzbietów i przepaści, po których piętrzy się coraz wyżej i wyżej to pasmo gór, których w tem miejscu szczyt najwyższy zowie się Czarną górą.

Ścieszka, którą poszedł Mykita ciągnęła się czas jakiś najgłębszym i najciemniejszym borem, w którym nagle nikła, i trzeba było szczególnego zmysłu góralskiego, aby po nocy nie zbłądzić z zamierzonej drogi, której jedyną skazówką były gwiazdy tylko, lub co u górali jeszcze ważniejszą odgrywa rolę, powiew wiatru. Zboczywszy nieco z lasu szedł coraz wyżej po przestrzeni skalistej pokrytej drobnemi kamykami usuwającemi się co chwila z pod nóg. I były miejsca tak wązkie i niebezpieczne, że iść musiał wąskim jak deska rąbkiem, pomiędzy dwie przepaście. Przyszedł nareszcie na szczyt jeden wyniosłości, uciętej tak krótko i gwałtownie, że zdawało się iż dalej nie ma już żadnej drogi możliwej. Jakoż pod nogami była ściana prostopadła kilkadziesiąt stóp wysoka, a w dole rodzaj kotła olbrzymiego, z którego dochodził szum jakiegoś strumienia, lecącego z góry po kamienistem korycie.

Mykita chciał się widzieć koniecznie z Iwanem czarnym. Gdzie on był i gdzie przebywają opryszki, nie wiedział wprawdzie zupełnie, bo nigdy tam nie był, ale nie darmo on był góralem, a dla prawdziwego górala, opryszek jest rodzaj bohatyra, o którym po wieczornych zej-

ściach chodzące po żebrach Homery najpyszniejszą, mnogiemi epizodami tkaną opiewają Iliadę. Mykita mniej więcej wiedział, gdzie najprędzej może ich zdybać, i najlepszy dał dowód, że w tej mierze nie był bez niejakich przygotowawczych wiadomości, bo stanąwszy na szczycie tej skalistej ściany, i odsapnąwszy trochę zahukał trzy kroć raz po raz, udając pasterza. Jest to zwykły u opryszków sposób korespondencyi i poznawania się na przestrzeń nawet dość odległą. Niewtajemniczony, nic nie pojmie i będzie mniemał, że słyszy puhacza. Oni zaś rozumieją się od razu, bo w zakończeniu tego hukania, jest rodzaj lekkiej przemiany w modulacyi, które ich tylko wprawne zrozumie ucho. Jakoż po pewnej chwili zdala ozwało się podobne hukanie, trzykroć powtarzane, a Mykita zasłyszawszy zaczął po mału z krawędzia tej ściany skalistej spuszczać się w dół. Trzeba być prawdziwym góralem, aby podobną podróż odbyć bez złamania karku. W tej mierze widziałem prawdziwie zadziwiające dowody zręczności góralskiej. Śmiało powiedzieć można, że dwa najzgrabniejsze z przyrody stworzenia, są człowiek i koń góralski. Zlazłszy na dół, przeszedłszy przez szumiący potok, znalazł się w tak ciasnej szyi dwóch skał, że ledwie nogę przed nogę stawiając, można było postępować dalej. Na końcu tej szyi ukazywała się nagle szersza dolina, zamknięta w około ogromnemi skałami, tak wysokiemi, iż zdawały się tworzyć ogromną pieczarę. Dolina ta ciągnęła się dość długo, i w końcu jej dopiero postrzegł wprawnem okiem jakiś las, z którego jak miarkował nastąpiła odpowiedź na jego hukanie.

Lecz uprzedźmy go na chwilę i wejdźmy do lasu, który zaczęty w tej ogromnej kotlinie rozszedł się po obu ścianach i piętrzył się coraz wyżej, aż do skał rozgraniczających od nowych skał, które były jakby wałem dzielącym las ten od gór, tak, że jedyny przystęp do tego lasu był przez ową kotlinę. Niepodobna prawie wynaleść było lepszego miejsca dla zgrai opryszków kryjących się przed ręką sprawiedliwości. Jakoż na wstępie prawie lasu samego paliło się kilka ognisk, przy których opryszki to siedzieli, to leżeli. Nie będę nudził czytelników moich opisem długim tego koczowiska, jakkolwiek bym mógł niepospolicie przedłużyć powieść moją, i rozdraźnić ciekawość, jeżeli oczywiście ciekawość tę wzbudzić mi się udało. Ta kie bowiem opisy znane już są aż do znudzenia; wszakże był czas, gdzie nie było książki bez potężnej bandy rozbójników, a każda banda rozbójników opisana dokładnie, nie mogła się obejść bez koczowiska.

Takie koczowisko, czy w Appeninach, czy w Pyrenejach, czy w naszych Karpatach zawsze prawie jedno i to samo. Trochę skał, trochę drzew, kilka ogniów tu i owdzie porozrzucanych, a koło nich w wdzięcznym oczywiście bezładzie pogrupowane grona rabusiów; postacie barczyste i zamaszyste, twarze zarosłe, spojrzenia dzikie, rozmowy bezbożne, obyczaje przerażające, i już gotowy obraz, prócz draperyi ubiorów, które stosownie do miejscowości muszą być odmienne. Jakoż w rzeczy samej nic nowego w tym względzie nie powiem i nic nie dodam do opisów tyle kroć po mistrzowsku oddanych, przez moich kolegów powieściarzy. (*D. c. n.*)

Lilia.

[Improwizacya].

Czem jest wśród ptaków gołąbka biała,
Czem wśród klejnotow perła z wód łona,
Tem jest wśród kwiatów lilia wspaniała,
Lilia strojniejsza od Salamona.
Jej bujająca, lekka łodyga,
Co jak powiewna łabędzia szyja,
Nad wszystkie kwiaty w niebo się wzbija,
Mlekiem nalany kielich jej dźwiga.

Gołębia święte znamiona strzegą,
On w arkę przeniósł gałęź oliwy;
Stokroć nadziemski, stokroć szczęśliwy,
Bo on jest godłem Ducha Świętego!

Perły te jasne, to są zapewnie
Łzy nieszczęśliwych, które anieli
W morzu, w muszlowych skrzynkach zamknęli,
Aby tam, wolne od wstrząsnień lądu,
Czekały w ciszy — i aż w dzień sądu,
W dowód tych cierpień błysnęły rzewnie.

Lecz czemuż lilja zawsze u ludzi,
Nad wszystkie kwiaty zebrane razem,
Więcej mistycznych uniesień budzi?
Czemu? bo ona świeci obrazem
Tej, co jest matką Boga-dzieciątka;
Marja za kwiat swój lilję obrała;
W lilji błyszczy czysta i biała
Kształtów jej duszy droga pamiątka!
Bo kiedy Marją, w ostatniej dobie,
W której rozstała się z światem,
Złożono w cichym i wonnym grobie,
Wkrótce zniknęły jej zwłoki...
Duchy ją jasne w niebo uniosły!
Lecz dno grobowca w łonie opoki
Okryło się bujnym kwiatem.....
Na miejsce zwłok tych lilje wyrosły!
I odtąd lilji srebrzyste lica
Okrywa świętej czci tajemnica.

Deotyma.

Anioł śmierci.

Jam duch pokoju, jam duch cichości,
A świat się boi mnie.
Jam jest posłannik Bożej Miłości,
Jam kres walk, cierpień i mąk ludzkości,
Jam jest początek nieśmiertelności,
A ludzkość na mnie klnie.

Bo wstyd pierwszego grzechu ich oczy
Tak w ziemię tylko zgiął,
Że gdy ich z góry cień mój otoczy,
Nie przez mię w niebo szlak mój uroczy,
Lecz widzą tylko kir co ich mroczy,
I swej mogiły dół.

Ale kto z serca i z ócz proch świata
Zdrojem zbawienia zmył:
Ten w mym uścisku poczuje brata,
Tego duch z moim wesół ulata,
Gdzie krótkich cierpień wieczna zapłata,
By w niéj na wieki żył.

A. E. Odyniec.

Najnowsze dzieła.

Garbaty.

Powieść przez Józefa Korzeniowskiego, tomów trzy.

Jeżeli podziwialiśmy nieraz znakomity talent J. Korzeniowskiego jako pisarza dramatów i komedyj, ani nam się śniło, aby w krótkim czasie tenże sam autor stanął tak wysoko jako powieściarz. W przeciągu lat kilku napisał on kilkanaście powieści, które wszystkie mogą iść w zapasy o palmę zwycięztwa nietylko z najlepszemi powieściami polskiemi, ale nawet i z zagranicznemi. Główną cechą jego talentu jest szczególna naturalność i rzewność, pełna uroczego wdzięku, tem więcej przemawiającego do serc naszych, że wszystkie jego obrazy, tak co do figur w nich występujących, jak i co do kolorytu, są zaiste nasze, dzisiejsze, pełne życia. I w tem jego jest niepospolite mistrzostwo, że jakikolwiek najmniejszy pochwyci obrazek z życia zwyczajnego, treść jego ułoży w całość artystyczną, i najpośledniejsze zdarzenie podniesie czarem prawdy, stylu, a mianowicie tej poezyi, którą mając w sobie, silne i żywe jej zdroje, jak ów stary profeta, z każdej dobędzie skały. I dla tego nie sadząc się na wynajdywanie zawikłań niezwyczajnych, katastrof przerażających, zajmuje i porywa czytelników swoich. Niema w jego powieściach ani ludzi, ani zdarzeń wyjątkowych, niema tych pieprznych zbrodni, jakiemi Francuzi mianowicie, zaprawiają swoje powieści, a jest przecie i prawda i życie. A chociaż i ta prawda i to życie są nieraz upoetyzowane, nie wedle miary zimnej rzeczywistości, ale wedle jego serca poczciwego, do ojczystej społeczności przywiązanego, chce się mimowolnie wierzyć jemu i czuć do wdzięczności za to, że nas prowadzi za sobą po tej czarownej drodze swojej, czasem naiwnej, lecz zawsze młodej wiary w lepszość człowieczeństwa. I nic dziwnego, bo czytając go wracamy pamięcią i uczuciem w młodsze lata, który każdy niemal przebył, otoczony rajem najcudniejszych marzeń, i najpyszniejszych złudzeń.

I daremnie sto przykładów za jeden zdybiemy o garbatych lub innemi ułomnościami obdarzonych ludzi, tak zda się w naturalnem rozkwaszeniu na drugich ludzi, przechodzących łatwo w złośliwość, nienawiść, pogardę, która bywa tylko słusznym najczęściej odwetem. Nadaremnie!.. W powieści pana Korzeniowskiego wierzymy w tego szlachetnego garbusa, któremu autor wlał w duszę siłę geniuszu, a w serce zapał do cnoty, czysty i prawdziwy, bo ochrzczony tem, co jest w życiu najtrudniejszem — poświęceniem własnego szczęścia, dla szczęścia drugich. I wierzymy w ten jego wiek dziecinny, pełny zastanawiania się, w jego młodość pracowitą, w tę ślicznie oddaną przyjaźń do kolegi tyle pięknego ile on jest brzydki; wierzymy że właśnie w tej jego pokurczonej i połamanej, wstręt wzbudzającej powłoce, rozbudziła się najzupełniejsza idea piękności, idea artysty, malarza. I pokochał śliczną dziewczynę, dziewczynę prostą, którą nasz Pigmalion ożywił siłą własnego jeniuszu, wykształcił, podniósł do siebie, a raczej i sam stworzył z niej równą sobie artystkę. I wszystkie nadzieje szczęścia położył w niej, przywiązawszy się do niej namiętnie. I dziewczyna, czując się jego dziełem, uznając całą wartość jego serca, porwana wdzięcznością bez granic, przyrzeka mu wzajemność, chce się z nim połączyć na wieki. Ale biedny garbus nie czuje się zupełnie szczęśliwym, bo sam zdolny poświęceń, przeczuwa poświęcenie ze strony dziewczyny, zajętej ślicznym i dorodnym jego przyjacielem. I jakkolwiek dziś, wczora, widzieliśmy tysiące przykładów sobkostwa, zasłaniającego się lada pretextem pozornym, chociaż tak łatwo przychodzi garbusowi znaleść ten pretext, on przecież nie zbiegiem naciągniętych okoliczności przymuszony, ale z własnej woli poświęca się i uszczęśliwia kosztem własnym przyjaciela i kochankę. I dla czegoż to poetyczne zmyślenie autora, któremu przedrzyźnia się codzienne życia doświadczenie, wydaje się nie tylko pięknem, ale i prawdziwem nawet?.. Dla czego? (D. n.)

Teatr.

Półtora roku temu zjawiła się w Europie powieść Amerykanki pani Beecher Stowe „*Chata wuja Tomasza*" a wkrótce potem i rozmaite dramata na tle tej powieści osnute. Powieść sama nie miała artystycznej wartości, ale miała tendencyą przypadającą wówczas do stosunków społecznych i politycznych. Podnoszącej głowę demokracyi amerykańskiej, rzucono w oczy to niby wierne skreślenie czarnej strony społeczeństwa amerykańskiego. Nadeszły inne wypadki i inne zdarzenia, w inną stronę zwróciła się uwaga wszystkich i nie minęło roku, a pomimo nowych dzieł w tym rodzaju pani Stowe, zapomniano o niej i o „*Chacie wuja Tomasza.*" Ale nie zapomniała o niej dyrekcya teatru polskiego we Lwowie. Przełożony przez pana Kamińskiego przed kilku miesiącami dramat chowała pilnie w swojej tece, aby przy sposobnej porze obdarzyć publiczność lwowską tą najświeższą nowością. I dopięła swego celu, jak ów co po obfitem żniwie zbiera kłoski po polu. W swoim czasie i przy stosownem obsadzeniu ról, byłaby ta sztuka po kilkakroć zgromadziła pełny teatr widzów; w środę i choć na benefis odgrana, niezdołała tyle zwabić widzów, aby zapełnić choć do połowy loże i krzesła. Nie będziemy się długo zastanawiać nad osnową tej sztuki, bo komuż nie jest znana treść powieści, choćby

nawet ze smutnej pamięci tłumaczenia Dydackiego. Jak powieść nie miała artystycznej budowy, tak i dramat jeszcze w wyższym nie ma jej stopniu. Z każdym aktem kończy się, lecz w każdym akcie przy zakończeniu rzucona jest nowa kluczka, nowa niespodziewana zaczepiona jest intryga, aby módz dalej jeszcze prowadzić osnowę. Lecz mniejsza o to. Stan amerykańskich niewolników w jaskrawych skreślony kolorach i wpływ tego śród cywilizacyi wyższej, nienaturalnego stanu na charakter indiwiduów stanowi zawsze dość ciekawy wątek dramatu i choćby tenże niezręcznie był osnuty, zająć jednakowo może publiczność. A znowu co do scen efektowych dramat ten celuje.

Głównym charakterem w tej sztuce jest niewolnica Eliza. Wydzierają jej to męża, to dziecię, nareszcie i cześć i dobre imię wydrzeć chcą. Na tem polega całe zawikłanie dramatu. Całą skalę uczuć przerażenia, trwogi, bojaźni, oburzenia, rozpaczy przejść ma ta niewiasta i to prawie od pierwszej sceny aż do ostatniej. Panna Radzyńska niepodołała tej roli, bo też do tej roli potrzeba było artystki pierwszego rzędu. Panny Radzyńskiej rozpacz była od pierwszej sceny aż do ostatniej do jednego tonu nastrojona. Śród zmian dramatycznych nie było żadnej zmiany w intonacyi jej gry, bo podniosła ją od początku samego aż do najwyższej siły, nie mogła więc cieniować według odmienności położeń, i gdzie było koniecznością, jakąś przecie odmianę uczynić, tam wpaść jedynie mogła w dziwaczny grymas lub rozstrojony krzyk. Jedną z najpoetyczniejszych scen dramatu jest, gdy Eliza ścigana od łowców i psów wpada w dom senatora i opowiada nieszczęście swe i ucieczkę okropną. Włosy stają na głowie przy czytaniu tej sceny, tchu nie staje w piersi ludzkiej. Odegrana przez pannę Radzyńską najmniejszego nie zrobiła wrażenia. Ztąd i pojąć nam było trudno usposobienie późniejsze senatora.

Drugą rolą chybioną zupełnie był charakter Harrisa kupca niewolników. Bez czucia i sumienia, twardy i nieugięty handlarz murzynów, w skutek wypadków a osobliwie w skutek ocalenia swego przez niewolników na których właśnie polował, obrzydza sobie ten handel, porzuca go i staje się kupcem pachnideł i odpowiednio swemu nowemu powołaniu przebiera się elegancko. Nowy strój cieszy go równie jak nowe i uczciwsze zatrudnienie. Jest w tem cieszeniu się ubiorem słabość i prostoduszność ale nie donkiszoterya. Już na przedstawieniu niemieckiem tej sztuki aktor tę rolę grający donkiszotował. Pan Gołębiowski chcąc grać zapewne jeszcze lepiej wystrychnął ten charakter na hanswurszta. A wolałbył się zastanowić nad owem przejściem charakteru, i grą swą poważniejszą umotywować tę zmianę. Bo tego przesilenia się w wewnętrznem usposobieniu Harrisa pojąć nie zdołała publiczność.

Wybornie grał p. Rejmers. Żdaje nam się przecież iż byłby więcej jeszcze życia wlał w ten schematyczny charakter, gdyby zmysłowa namiętność do Elizy, będąca bodźcem zawikłania dramatycznego, wystąpiła była widoczniej w charakterze jego. Byłby uzupełnił to, co autor może zaniedbał, byłby charakter przybrał ludzki.

Pan Nowakowski charakter senatora, w którym uosobniona jest kolizya sumienia a prawa, uczucia własnego a ustawy, przeprowadził jako żywą całość bardzo dobrze, pojąwszy ten charakter więcej z komicznej strony. Lecz czy nienależałoby tę komiczność złagodzić nieco aby publiczność i śród przesileń najtraiczniejszych nie buchnęła homerycznym śmiechem, jak to się stało w kilku scenach?

W końcu pochlebnie wspomnieć musimy o pannie Szuszkiewiczównie, która rolę murzyna usamowolnionego odegrała lekko i wesoło. —

A teraz co do ogółu gry! Widocznie za mało się włożono do odegrania tej sztuki, ztąd jedna scena nie wpadała w drugą, a gdzie wchodziło więcej osób lub więcej zmian, tam przez to nikł efekt cały. Tak się stało z sceną, gdzie po skałach spinają się za niewolnikami, tak samo wypadło i z sceną licytacyi niewolników, która pomimo swej traiczności, dlatego iż jedno drugiemu nie odpowiadało, i że się przeciągło za nadto, niezgrabnością swą stała się nudną i rażącą. *Z............*

Rozmaitość.

Poczta napowietrzna. — W Ameryce żeglarz napowietrzny *Wise* zajmuje się na *serio* urządzeniem poczty balonowej do Europy. Minał już czas, gdzie z podobnie awanturniczych projektów śmiać się wolno było. Pan *Wise* buduje balon, który 125 stóp będzie miał w dyametrze, napełniony ma być gazem tylko do połowy, aby jedynie w odległości trzech mil ang. nad ziemią unosić się mógł. Do zbudowania tego balonu potrzebuje jedwabiu za 10.000 dolarów, oleju za 200 dol. sieci i sznurów za 300, czółno do ratowania się 500 dol. robota 1000, przyrząd 100, gazu za 2500; narzędzi za 500, żywności na 8 osób za 100, razem 20.600 dolarów. Balon podobny zdoła dzwigać 34.375 funtów ciężaru. Balon sam, czółno, passażery i żywność ważyć będzie 9180, a 25,195 funtów ważyć mogą pakunki i przesyłki pocztowe. Z tym pakunkiem zamierza odbywać podróż z Ameryki do Londynu, Lizbony, Madrytu, Neapolu, Konstantynopola. Lecz pytanie zachodzi, jakim sposobem będzie dyrygować tym balonem? Oto natura sama nim kierować ma. Professor Espy dowiódł, iż na półczwartej mili angielskiej nad ziemią północnej Ameryki, jest ciąg nieustanny powietrza od zachodu na wschód, który jest wynikiem dwóch innych stałych i niezmiennych strumieni powietrza, z których jeden ciągnie od północnego, drugi od południowego zachodu. Otóż z temi strumieniami powietrza można w 24 godzinach, a może i prędzej przez atlantycki ocean przenieść się z Nowego Jorku do Europy. Lecz drugie pytanie jak wracać ma ta poczta? Na to odpowiada pan Wise, iż wracać może w tym samym kierunku na wschód, ponad środkową Europę, Chiny, Japonią, Ocean spokojny, aż do Nowego Jorku, za każdym więc razem okrążyć ma całą ziemię. Pan Wise już znalazł kapitalistów, którzy złożyli pieniędzce potrzebne; okręt się buduje, a tymczasem bada p. Wise stan powietrznych strumięni nad całą Ameryką północną.

Konkurs żniwiarek w Anglii. — Dwadzieścia pięć lat temu, Anglik Bell wymyślił żniwiarkę i dziwnym wypadkiem, ta machina, która ćwierć wieku drzymała, okazuje się teraz doskonalszą od nowszych, nawet od sławnej Mac-Cormicka; to przynajmniej okazały ciekawe doświadczenia, z których sprawę zdajemy:

Na meetingu w *Glocester* postanowiło było Towarzystwo Królewskie gospodarcze, aby wezwać **żniwiarki do konkursu.** Nagrodę wyznaczono 20 funt. ster. 12 machin się stawiło, z tych 6 przyjęto, 1. Machinę z zakładów Garrett i Syn, przez nich samych wynalezioną; która będąc na wystawie londyńskiej była uznana wraz z machiną *Mac-Cormicka* za praktyczną i która w roku zeszłym różne uzyskała nagrody. 2. Machina pana Bell, wystawiona w zakładach Crosskilla w Bewerley. 3. i 4. Dwa wzory żniwiarki *Mac-Cormicka*, pierwsza wystawiona przez pp. Burgess i Key w Londynie, druga przez p. Samuelsona w Branbury nakoniec 5. i 6. dwa wzory żniwiarek p. Hussey, wystawiona jedna przez wynalazcę, druga w zakładach pp. Dray i komp. w Londynie.

PP. Garret i syn cofnęli swoją machinę chcąc ją jeszcze ulepszyć, pięć drugich wystąpiło do walki, która miała miejsce w Pusey 13. i 14. sierpnia r. z. w obecności sędziów wybranych przez towarzystwo królewskie w Londynie. Sędziami byli pp. Fisher Hobs, Charles Amos, Henry Hannum, W. Woodward i Józef Druce. Monitor przemysłowy ogłosił cały protokoł wzmiankowanych doświadczeń.

Trzeba wiedzieć, że okoliczności towarzyszące próbom były niedogodne, mianowicie deszcz lał jak z cebra. Doświadczenia robiono na łanach żyta, jęczmienia, owsa i grochu, których część zupełnie się pokładła. Od rana mnóstwo właścicieli i dzierżawców było na miejscu; z obcych wielu Amerykanów, Francuzów, Niemców i Rossyan. Walka rozpoczęła się o 10-tej.

Z pierwszej próby na pięknym łanie żyta, którego tylko część mała była powaloną, wszystkie żniwiarki wyszły z honorem. Zgodzono się, by przejść do czegoś trudniejszego i przeprowadzono je na pole żyta zupełnie powalonego; cztery z nich nie mogły działać, jeśli żyta poprzednio nie podniesiono, piąta była zręczniejszą a tą była żniąwiarka p. Bell. Konstruktor oświadczył, iż nie ma okoliczności w którychby działać nie mogła i rzeczywiście raz w ruch wprowadzona, siekła tam i napowrót z wielkiem zadziwieniem i równem zadowoleniem widzów.

Trzecie doświadczenie, podczas którego deszcz lał z gwałtownością niezwyczajną nawet w Pussey, wykonano na łanie jęczmienia powalonego tak, jak gdyby był walcem pognieciony. Machina Bella siekła we wszystkich kierunkach bez trudności a tak nisko, iż często napotykała kamienie, które daleko odrzucała. Jedna tylko żniwiarka p. Burgess i Key (system Mac-Cormicka) potrafiła jej towarzyszyć.

Wszystkie machiny sprowadzono następnie na pole zasiane grochem zimowym, rzadkim i poplątanym, i tu znów żniwiarka Bella siekła i zbierała tak dokładnie jak kosa, i tylko powyższa machina systemu Mac-Cormicka jako tako jej dorównała.

Nie daleko z tamtąd był łan owsa gęstego powalonego dniem wprzódy, na nim wszystkie machiny dobrze pracowały, lecz co do czystości i niskości ciernia, znów machina Bella nie miała równej. Piękny łan jęczmienia z koniczyną był ostatniem polem doświadczeń, niedługo jednak wszystkie machiny wstrzymano prócz Bella i Burgessa, bo źle siekły, jednakże i tu pierwsza okazała się doskonalszą. Otrzymała więc nagrodę jednogłośnie. (Z gazety roln.)

Z Żytomierza. — P. Kraszewski oddany pracom literackim, wiele czasu poświęca malarstwu i godziny te zowie swojem wytchnieniem. Obdarzony wyobraźnią i pamięcią nadzwyczajną, posiada nadto tajemnicę mnożenia godzin swoich. Widzieliśmy dwa krajobrazy jego pędzla (bo tę gałęź sztuki upodobał sobie) i poznaliśmy wprawę ze znajomością rzeczy połączoną, usterki zaś i niewykończenie przedstawiały się nam jako wpły ognistego porywu, który czyni penzlowanie jego śmiałem do zuchwałości. Ołówki też jego, po nich bowiem mniej skończenia się wymaga, mają wdzięk, łatwość i życie. Widzieliśmy niektóre z nich przedstawiające okolice Żytomierza. Ile sobie przypomnieć możemy, jeden tylko z nich widok, jedno tylko Album p. Wilczyńskiego uwieczniło w sztuce; a szkoda, bo mało tak malowniczych miejscowości kraj nasz posiada, mało tak uległych zagubie z powodu trzebieży drzew i łomu skał dla rozrostu miasta.

Od niejakiego czasu Żytomierz liczy kilku malarzy stale w nim zamieszkałych. PP. Zawadzki, uczeń akademii St. Petersburskiej, Aleksandrowicz szczycący się nauką znakomitego Hadziewicza, Sobkiewicz, Bouguignon, Górski, trudnią się li portretami albo prywatnemi lekcyami; p. Fabjański zaś jedyny pejzażysta *ex professo*, przybył do nas z Petersburga, ogłosił prenumeratę na tekę, w której nic Żytomierskiego nie ma, i wyjechał do Wilna. Nie będziemy o nich rozprawiać, by nie obrazić ich skromności. Ubolewać tylko musimy, że żaden z nich, żaden z lubowników, nie przejął się bogactwem studyów, jakie miejscowość tutejsza oczom artysty narzuca. Pierwszy dopiero p. Kraszewski w krótkim pobycie swojem, rozpoczął powierzać ołówkom wrażenia z pięknej naszej natury otrzymane. *G. W.*

Pan Porrot wynalazł nowe **narzędzie do gaszenia pożarów** na wsi. Jest to wielka miotła brzozowa, obszyta pojedyńczo grubem płótnem, tak żeby wszystkie jej pręciny tem płótnem objęte były, lecz nieprzyciśnione bardzo jedna do drugiej. Taka miotła będzie sprężysta i da się zastosować do każdego położenia. Nadto przyszywa się na powierzchni płótna w kilku rzędach płaty, mające cztery lub pięć cali szerokości i w fałdy złożone. Takie narzędzie przymocowane na długiej lub krótkiej żerdzi, stosownie do potrzeby, przesuwa się w miejscu ognia, umaczawszy je wprzódy w wodzie, lub w jakimkolwiek płynie. Można niem wszędzie kierować i w każdem miejscu wygodnie gasić. Kilkanaście takich mioteł przygotowanych większy nawet pożar przytłumić może.

Nowy rodzaj kukurydzy, który prędko dojrzewa i mniej delikatny jest jak wszystkie inne ich rodzaje, przed kilkoma miesiącami z północnych państw północnej amerykańskiej Rzeczypospolitej do Europy sprowadzony został. P. Rolshofen, gospodarz bardzo przemyślny w Benstery w prowincyi nadreńskiej posadził w ziemi zimnej i nieuprawnej 23 ziarn, z których 19 zeszło. Z tych było 34 kłosów, a te kłosy miały w przecięciu najmniej po 300 ziarnek, tak że całe żniwo przyniosło do 10,200 ziarnek. Łodyga nie jest tak grubą, jak zwyczajnej kukurydzy, a liście są mniejsze; z wzrostu jej szczególnie wnosić można, iż jest z północnego klimatu.

Kornel i Katarzyna, Polacy, trefnisie Cesarza Karola V. Kilku karłów i kilku trefnisiów zrobiło sobie imię głośne w dziejach naszych, źe wspomnę tylko Stańczyka, nadwornego trefnisia Królów Alexandra i Zygmunta I., i karła, szlachcica Krassowskiego, który się wiele przyczynił do elekcyi Henryka Walezyusza. O wielu innych milczą dzieje, chociaż byli najmilszą rozrywką największych w świecie monarchów. I tak Karol V. Cesarz nie mógł dość dziękować Bonie Królowej Polskiej, za przysłanie mu dwojga dzieci Kornela i Katarzyny, »wiekiem i wzrostem nierównych, ale z obyczajów całkiem podobnych. Wielką z nich uciechę mamy, pisał Cesarz Karol V. do Królowej Bony (ze Spiry 11. Maja 1544 roku), gdyż oboje szykowni i weseli, i właśnie tacy, iż umysł nasz, ważnemi sprawami zmęczony, tańcem i żartami dziecinnemi rozrywać umieją. Dla tego dar ten z każdym dniem milszym staje się dla nas, za który też pilną wdzięczność dla Waszej Światłości (*Vostrae Serenitati*) chowamy; staraniem naszem będzie, aby dzieci te uczciwie i stosownie do potrzeb swoich hojnie podej-

mowane były. A że zapewnie rodzice ich i krewni troszczą się o te dzieci, prosiemy aby Wasza Światłość, te rzeczy powagą swoją załatwiła; zapewniając im łaskę i opiekę swoją.» List ten, po łacinie pisany, znaleziony przezemnie w bogatym zbiorze rękopisów Cesarskiej Biblioteki Wiedeńskiej, przy wielu innych, ważniejszej historycznej treści, przydaje drobny wprawdzie, ale nowy szczegół do życia domowego ubiegłych wieków. *A. P.*

W liczbie utworów wynadgrodzonych przez władze akademiczne na wystawie sztuk pięknych w Petersburgu, zyskała sobie nazwisko arcydzieła, praca rodaka naszego, młodego rzeźbiarza, p. Wiktora Brodzkiego, przedstawiająca **Kupidyna śpiącego w muszli**, wyrobionego z marmuru. Praca ta zwróciła na siebie powszechną uwagę znawców, i akademia przyznała jej złoty medal. Stanowisko, które pan Wiktor Brodzki w tak młodym już wieku zajął w dziedzinie sztuki, każe nam się spodziewać, iż powiększy on szereg artystów, będących zaszczytem i ozdobą narodu.

Za czasów Xstwa. Warsz. postawiono żołnierza na warcie przy mundurowym magazynie. W nocy oddział, do którego należał zapomniawszy go zluzować, nagle wyruszył z Warszawy. Stojąc na warcie o chłodzie i głodzie noc całą, co większa jeszcze porządny kawał dnia następnego, miotany niecierpliwością, która go do ostateczności przyprowadziła, ujrzał naprzeciw siebie idącego jakiegoś kontuszowego, wykrzykującego wgłos tytuły: to referendarza, to łowczego, krajczego, na wiwat paląc salwy gębą, co oczywiście świadczyło, iż kontuszowy był pod dobrą datą i niegłodny. Kiedy się ze sobą zrównali, kontuszowy na cześć pana Wojewody zaczął gębą salwy dawać. Właśnie w chwili wystrzału bum, bum, zniecierpliwiony do ostatka sciągnął przybyłego płazem mówiąc: — Niestrzelaj mi tu błaznie, bo magazyny podpalisz.

Filidor, sławny gracz w szachy, używał w młodym wieku często swego rzadkiego talentu do zarabiania pieniędzy. W Niemczech, Anglii i Hollandyi zwyciężał najlepszych graczów dozwalając im nawet rozmaitych korzyści. Nieraz grając sam kierował zarazem grą drugiej osoby, siedzącej tak, że niemógł jej widzieć wcale; ale natężenia takie unużały tak dalece jego umysł, że wkrótce musiał je zaniechać. Hrabia Artois jednak, słysząc o tej biegłości, pragnął koniecznie przekonać się o niej osobiście i kazał powiedzieć Filidorowi, że radby grać z nim jedną partyę w ten sposób o sto luidorów. Filidor niechciał z początku przystać na to, przedstawiając księciu, że niezawodnie przegrałby z nim partyę, ale w końcu dał się namówić i przyjął zakład. Hrabia Artois wybrał dwóch graczy, którzy mieli posuwać figury i postanowiwszy w duchu zapłacić zakład na wszelki sposób, czy wygra czy przegra partyę, kazał przeciwnikowi Filidora wykonać fałszywie jedno podyktowane mu ciągnienie. Po tej umowie zaczęła się partya i wkrótce potem kazał Filidor swemu graczowi pociągnąć skoczka, ale grający pociągnął natomiast biegunа i po dwudziestu pociągach oznajmił Filidorowi, że przeciwnik szachował królową jego króla. „To być niemoże!» — zawołał Filidor — „nasz skoczek biłby ją przecie.» — „Pan się mylisz» — odrzekł sprzymierzeniec księcia — „tu niema żadnego skoczka, tylko biegun.» — „Co, biegun?» — Filidor położył rękę na czole i przeszedł w pamięci całą partyę. „Przy piątem ciągnieniu» — rzekł w końcu — „niezrozumiałeś mnie pan, i pociągnąłeś bieguna zamiast skoczka.» Na te słowa powstał hrabia Artois przejęty zdziwieniem i uwielbieniem, wyznał swój podstęp i prosił Filidora o przebaczenie. Nazajutrz z rana zaś posłał mu przegraną stawkę w złotej tabakierce z cyfrą swoją wysadzaną dyamentami.

Dowcipniś chcąc zażartować z sędziwego kapłana prawiącego gminie swej o stworzeniu świata, przerwał mu mowę niedorzecznem pytaniem: „Księże proboszczu, a co też było przedtem nim Pan Bóg świat stworzył?» — „Ha, mój przyjacielu» odrzekł bez namysłu kapłan — „Co właściwie wtedy było, tego nieodgadnie nigdy wątły rozum ludzki, ale mnie się zdaje, że było to samo, co w Twojej głowie: chaos zupełny.»

W czwartek była **wielka recepcya** u JEx. hr. Namiestnika, na której damy były przedstawiane **Jego Cesarzewiczowskiej Mości.**

Opowiadają o naszym **Dostojnym Gościu**, iż w przeszłym tygodniu idąc Piekarską ulicą napotkał biednego chłopczynę skulonego i drżącego od zimna. Spytał co mu się stało. Chłopczyna odpowiada, iż chodzi do szkoły, ale nie ma co jeść i mgli go z głodu. —Więc idź do kuchni Arcyksięcia, tam ci jeść dadzą. — Ależ proszę pana oficera, ja się tam boję przystąpić.—Idź tam prosto, nie bój się, na dole jest kuchnia. Przynaglony chłopczyna poszedł przodem. Cesarzewicz nadszedł poźniej właśnie wtedy gdy chłopczynę nie przypuszczały straże i kuchenni. Kazał go natychmiast wprowadzić do kuchni, nakarmić i polecił, aby codzień miano o tym chłopczynie staranie.

Karol Lipiński otrzymał krzyż kawalerski orderu Albrechta.

Koncert pana **Mikuli** nastąpi w piątek w sali ratuszowej.

Dnia 10. zerwały wody most koło Pilzna na Wisłoce, a z powodu wielkiego wezbrania Sanu rozebrano most w Przemyślu. Z tego powodu poczty się spóźniły. Wczorajsza ranniejsza przybyła dopiero dziś nad ranem.

Przyjechali dnia 11. 12. i 13. do Lwowa:

PP. Lang Emanuel dzw. dóbr, z Prosinowa. Medwey Franciszek wł. dóbr, ze Stupnicy. Ohanowicz dzw. dóbr, z Brzeżan. Parys Adam hr. i wł. dóbr, z Kornia. Thullie Jan wł. dóbr, z Mokrzan małych. Uruski Leopold mand. z Jaryczowa.

PP. Dzieduszycki Edward hr. i wł. dóbr, z Narola. Głuchowski Jan dzw. dóbr, z Czyżykowa. Jarosławski Grzegórz wł. dóbr, z Pustomyt. Kaczkowski Spirydion rz. dóbr, z Czabarówki. Kmicikiewicz Aleksander pleban, z Kłodna. Krzaczkowski Marcin c. k. radca krym. z Sambora. Lipiński Antoni dzw. dóbr, z Brzeżan. Łoś August hr. i wł. dóbr, z Werchraty. Malczewski Juliusz wł. dóbr, z Skwarzawy. Micewski Edward wł. dóbr, z Tuczemp. Mier Feliks hr. i wł. dóbr, z Witkowa. Rogalski Kajetan rz. kam. z Wybranówki. Tyszkiewicz Paulina hr, z Rossyi. Wierzchleyski Hilary rz. dóbr. z Radymna. Wisłocki Karol wł. dóbr, z Tarnopola.

PP. Garwoliński Jan wł. dóbr, z Gródka. Hempel Stanisław wł. dóbr, z Przemyśla. Mikołajewicz Józef wł. dóbr, z Wiązowy. Wiktor Tadeusz wł. dóbr, z Jarosławia.

Wyjechali dnia 11. i 12. stycznia ze Lwowa:

PP. Ciepiełowski Dyonizy radca krm., do Tarnopola. Hajlig Gustaw c.k. cyrk. komis., do Krakowa. Kruszykiewicz Dominik dzw. dóbr, do Chodaczkowa. Smarzewski Franciszek wł. dóbr, do Tarnopola.

PP. Drzewiecki Józef wł. dóbr, do Rymanowa. Leszczyński Julian wł. dóbr, do Łuczan. Niezabitowski Kwiryn wł. dóbr, do Brzeżan. Obertyński Aleksander dzw. dóbr, do Leszczkowa. Rodzikiewicz Aleksander pleban, do Milatyna. Smolski Józef wł. dóbr, do Kubyńca. Wierzbowski Józef rz. dóbr, do Mogielnicy.

Kurs lwowski.

Dnia 14. Stycznia.	gotówką	towarem.
Dukat holenderski	zlr. 5 kr. 32	zlr. 5 kr. 37.
Dukat cesarski	» 5 » 37	» 5 » 42.
Półimperyał zł. rosyjski	» 9 » 40	» 9 » 44.
Rubel srebrny rosyjski	» 1 » 53	» 1 » 54.
Talar pruski	» 1 » 46	» 1 » 47.
Polski kurant i pięciozłotówka	» 1 » 24	» 1 » 25.
Galicyjskie listy zastawne za 100 zlr.	» 90 » 9	» 90 » 27.

Kurs telegraficzny z Wiednia 13. stycznia o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg $121\frac{3}{4}$. Frankfurt 121. Hamburg $90\frac{3}{4}$. Liwurno 119. Medyolan $110\frac{1}{2}$. Genua. — Londyn 11. 54. Marsylia. — Paryż $143\frac{3}{4}$. Bukareszt. — Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio $20\frac{5}{8}$. Pożyczka 5% $92\frac{3}{8}$. $4\frac{1}{2}$ 82. Pożyczka lit. B. 5% — Akcye banku 1320. Kolej północna 2295.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**